WIWISEKCJA ZBRODNI

ANDRZEJ JANIKOWSKI

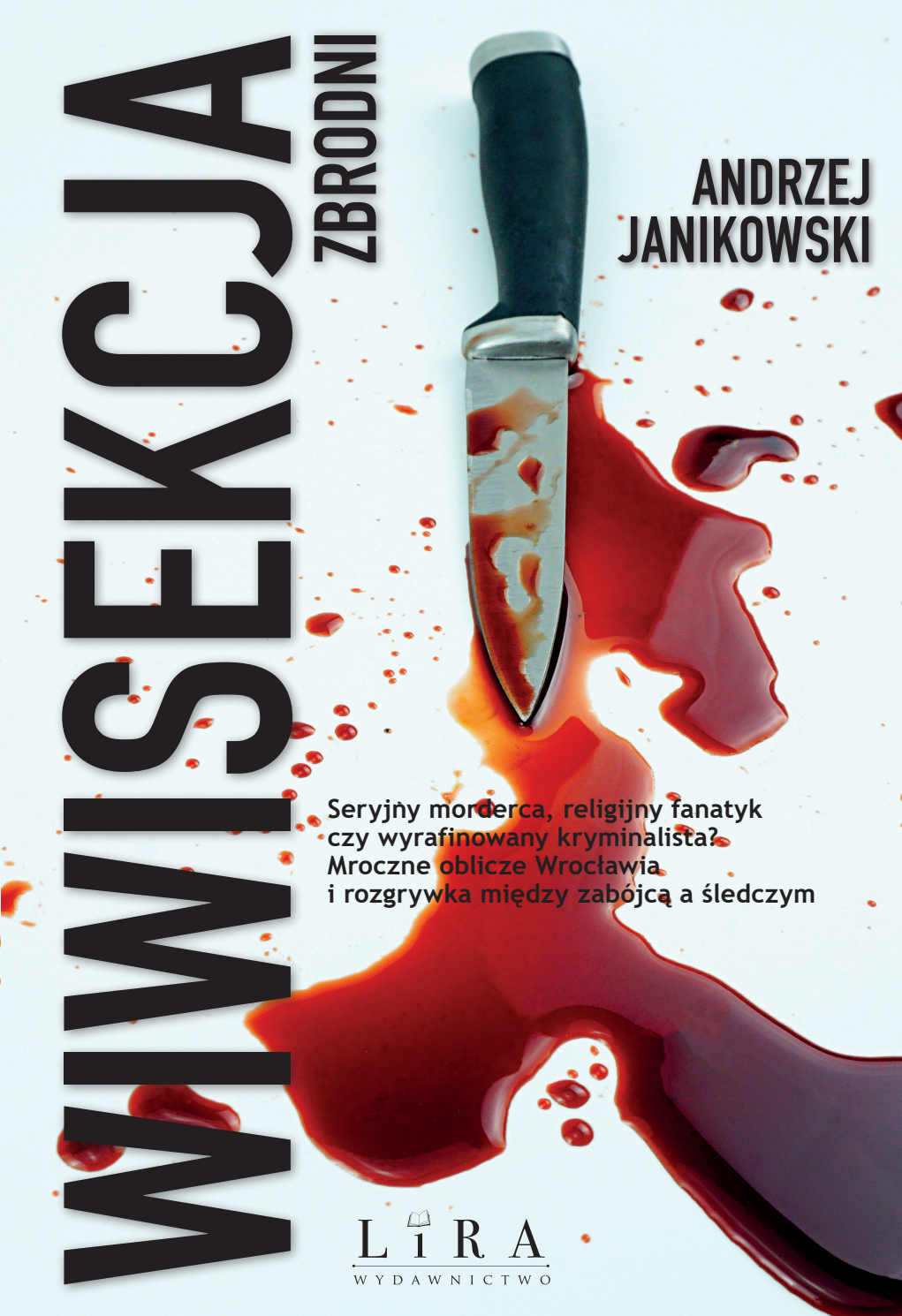

Seryjny morderca, religijny fanatyk czy wyrafinowany kryminalista? Mroczne oblicze Wrocławia i rozgrywka między zabójcą a śledczym

LiRA
WYDAWNICTWO

WIWISEKCJA
ZBRODNI

ANDRZEJ
JANIKOWSKI

WIWISEKCJA
ZBRODNI

LIRA
WYDAWNICTWO

Lira Publishing Sp. z o.o.
Wydanie pierwsze
Warszawa 2020
ISBN: 978-83-66503-26-7

1

„Bóg rzadko daje fory, ale i tak zbyt często" — pomyślał podkomisarz Roman Sadowski z wrocławskiego wydziału do walki z terrorem kryminalnym. Stał niemal nad samym brzegiem stawu, pod rozłożystymi gałęziami dębu, a tuż obok niego starszy sierżant Jerzy Madrygałkiewicz paluchami w nikotynowej żółci nerwowo dusił gasnącego peta. Ciało znajdowało się na malutkiej, skrytej w chaszczach wysepce, od której dzieliło ich jakieś dziesięć metrów brudnej wody. Widzieli je raczej oczami wyobraźni — całe jezioro spowijała mgła stężona niemal do konsystencji śmietany. Nie wiadomo, czy nadciągnęła z porannymi chmurami, czy może raczej wypełzała ze stawu. Rosnąca do samego nieba ściana spienionej szarości przesłaniała przeciwległy brzeg. W powietrzu unosił się odór spalenizny i zjełczałych jaj.

Niezwyczajne jak na tę porę dnia i roku.

Wydychane przez jezioro wyziewy, jak tchnienie diabła, gryzły w nozdrza i gardło. Fale cuchnącego powietrza wirowały nad parkiem niczym zaraza nad średniowiecznym grodem. I jeszcze ta nieznośna, przenikająca ubranie ciepła, niemal tropikalna wilgoć!

Na wysepce policyjni eksperci kończyli zabezpieczanie śladów, choć prawie ich nie dostrzegali. Kilkanaście metrów dalej, po kolana w wodzie, brodził nurek, który w szarych tumanach przypominał Obcego z filmu Ridleya Scotta.

Przed oczami policjantów majaczyły zaledwie kontury niewielkiej wyspy i zarys zacumowanego pontonu. Słony od potu podkomisarz opuścił głowę. Stał na omszałym

kamieniu tak blisko jeziora, że czubkami butów niemal muskał jego gruźliczą toń. Spojrzał w dół i przeszył go dreszcz. Zdawało mu się, że staw oddycha i że zaraz z otchłani wyłonią się lepkie dłonie, które chwycą go za nogi i wciągną pod powierzchnię. To ukłucie wyobraźni ocuciło go momentalnie. Cofnął się o krok i spojrzał na płetwonurka. Zdecydowanym ruchem ręki dał mu znak, żeby wracał. Tamten zdjął z twarzy maskę i skierował się w stronę brzegu.

— Podwodny śmietnik. Parę butelczyn, jakieś kalesony, trochę przeżartego rdzą żelastwa, oderwana głowa lalki — wyliczał nurek, stojąc kilka metrów od suchego lądu.

— Dzięki. Zwijaj manele i do Fortecy — odparł mechanicznie zmęczonym głosem Sadowski.

Tamten wyszedł na brzeg, zdjął płetwy i poszedł w stronę stojącego na parkowym spacerniaku policyjnego wozu. Sadowski przez chwilę odprowadzał go spojrzeniem. Nie wyglądał dobrze — nieprzespane zmęczenie wycisnęło mu cienie pod oczami. Trudy złej nocy potęgował unoszący się w powietrzu aromat dworcowego wychodka. Smród bardzo dawał się we znaki także koledze, który schował nos w zrolowanej dłoni, ale że skutek tego działania był w zasadzie żaden, więc zaraz opuścił rękę. Sadowskiemu przyszła do głowy myśl, że przestępca wsypał coś do wody, co w reakcji z nią utworzyło mgłę i pod jej ochroną dał nura w miasto. Pozostawił po sobie cuchnący klozetem spadek i zniknął.

Jeszcze kilka minut temu byli na wyspie, która stała się niemym świadkiem strasznej i od dawna niestosowanej śmierci krzyżowej. Nagie ciało przywiązane za ramiona i nogi do skrzyżowanych desek bezwładnie zwisało pośród

chaszczy. Drewniany, mocno spłaszczony iks opierał się o jakiś pieniek. Od razu zwrócili uwagę na nienormalnie szeroko rozstawione nogi i bose stopy, które przylegały piętami do ziemi. Mężczyzna nie żył od dobrych kilku godzin — krew na zimnej klatce piersiowej zdążyła już skrzepnąć. Przeczesali gęste zarośla, ale bez efektów. Buszując po wyspie, spłoszyli tylko kilka piżmaków — jak je pieszczotliwie określił Madrygałkiewicz — choć w rzeczywistości były to pospolite szczurzyska. Zwierzaki podreptały do brzegu, dały nura do wody i z pyszczkami nad ciemną taflą jeziora odpłynęły w nieznanym kierunku.

— No i co o tym wszystkim myślisz? — zapytał starszy sierżant, podnosząc z ziemi zielony listek dębu.

— Nie myślę o wszystkim, ale coś mi świta. Prawdopodobnie wjechał do parku samochodem. Może zostały ślady opon. Znajdziemy je, Madrygał?

Tamten tylko pokręcił przecząco głową.

— Ale jeśli mam rację, to musiał gdzieś tu się zatrzymać. — Sadowski odwrócił się i spojrzał na rząd ławeczek tuż przy asfaltowej ścieżce. — Trudno sobie wyobrazić, aby taszczył zwłoki kilkaset metrów od granic parku. To byłoby nie tylko zbyt ryzykowne, ale po prostu głupie. Wyciągnął z bagażnika ponton albo łódź, zwłoki, deski i przepłynął na wyspę. Tam zamontował tę swoją upiorną konstrukcję.

— Sugerujesz, że zabił tego klienta wcześniej i przetransportował zwłoki na wyspę? — Madrygał położył listek na otwartej dłoni. — W takim razie to niezły siłacz.

— Kto wie?

— I jechał ze zwłokami przez całe miasto? — W oczach sierżanta pojawiło się niedowierzanie.

— Nie wiemy, czy przez całe. W każdym razie jakoś tu dotarł. Dotarli — poprawił się zaraz podkomisarz.

— Nie przekonuje mnie to — zaoponował odważnie młodszy policjant. Miał niższy stopień, ale nie bał się stawiać własnych hipotez. — Mógł zatrzymać samochód na skraju parku, wywlec golasa z auta i kopami zapędzić na wyspę.

— Spójne — odrzekł Sadowski po krótkim namyśle, łypiąc okiem to na wysepkę, to na ścieżkę. — Skoro mógł ukrzyżować tego człowieka, mógł mu też kazać przejść drogę krzyżową w wodzie. W każdym razie z pewnością sporo czasu mu zajęło, żeby to wszystko spokojnie obmyślić, przygotować i wdrożyć.

— Strateg.

— Planista. Na dodatek całkowicie pozbawiony skrupułów. Nie lubię takich typków. I to bardzo — zakończył z naciskiem na ostatnie słowo.

Dwaj technicy zataszczyli czarny wór i deski do pontonu, a następnie sami zajęli w nim miejsce. Kilka żwawych ruchów wiosłami i już przybijali do brzegu. Madrygał zdmuchnął listek z dłoni, który zrobił w powietrzu kilka salt, po czym przykleił się do tafli wody.

— Paluchy i zdjęcia na cito. Może jest w naszej bazie — zakomenderował Sadowski.

Pierwszy bez słowa pochylił się nad workiem, drugi wziął skrzyżowane dechy pod pachę i poszedł w stronę samochodu. Włożył drewno do bagażnika i zaraz wrócił, by razem ze swoim kolegą odtransportować zwłoki i ponton.

— Machniemy sobie rundkę wokół stawu — powiedział do młodszego kolegi.

Z pewnością przeszukano teren przed ich przybyciem, ale nie zaszkodzi popatrzeć poprzednikom na ręce. Zresztą ufali tylko sobie, dlatego stopniowo, krok po kroku, sprawdzali wszystko, co wydawało się dziwne albo nie na miejscu. Nic jednak na dłużej nie przykuło ich uwagi — tylko w zaroślach, nieopodal ceglanego mostku nad niewielkim kanałem dopływowym, szczury harcowały obok martwej kaczki. Na ulicy Sudeckiej, która ciągnęła się wzdłuż wschodniej granicy parku, pomalutku gęstniał ruch samochodowy, a oni ciągle stali na kładce, mając za plecami staw.

— Może masz rację. Załóżmy, że zatrzymał się właśnie gdzieś tutaj, przy tej ulicy. Potem kilkoma uderzeniami pięści wygonił faceta z auta i zapędził na wyspę. Sudecka nie jest główną arterią miasta, ale nie jest też peryferyjną uliczką. W najbliższym sąsiedztwie żyje co najmniej kilkadziesiąt rodzin.

— Ma rozmach — odrzekł z pewnym uznaniem w głosie Madrygałkiewicz. Rzucił wypalonego do filtra papierosa na ziemię i przydusił go podeszwą buta.

— A jeśli kazał mu się rozebrać dopiero na wyspie? No, ale gdyby tak, to też musiał brodzić w wodzie. — Starszy stopniem policjant raczej głośno myślał, niż mówił do kolegi. — A może kazał mu ciągnąć ponton? Staw nie jest przecież zbyt głęboki. Utopić się tu nie sposób.

Ruszyli dalej. Zakręcili przy cisowym zaułku — mrocznym i posępnym, jak tylko cisowy las być potrafi. Zatrzymali się niemal dokładnie w tym samym miejscu, z którego przed kilkudziesięcioma minutami ruszyli. Sadowski usiadł na ławce i trochę błędnym wzrokiem wpatrywał się w wyspę. Technicy właśnie z łoskotem zamknęli drzwi

policyjnego auta, lecz on nie zwrócił na to uwagi. Madrygał pocierał dłonie, chrząknął, ale nie wyrwał z zadumy kolegi, który dopiero po dobrej minucie trwania w letargu spojrzał na partnera.

— Zmykaj do Fortecy i dopilnuj, aby dostarczyli zdjęcia — powiedział spokojnie. — Żeby nie było jak ostatnio.

— Nie będzie. Aha, fotki nieboszczyka czy tych drewnianych deszczułek?

— Wszystkie z dziś.

— Wodzu, przypomnij mi, jak nazywa się ten park. — Starszy sierżant zmarszczył czoło, wkładając mały palec lewej dłoni do prawego ucha.

— Południowy. — Podkomisarz łypnął na młodszego kolegę przenikliwym spojrzeniem. — Nigdy tu nie byłeś?

— Mieszkam na Psim Polu. Ludzie z północy rzadko zapuszczają się w te rejony Wrocławia — odparł jakby na usprawiedliwienie.

Ludzie z północy niechętnie wypuszczają się poza granice swojej małej ojczyzny, a co dopiero mówić o przeciwległym krańcu miasta. Historyczne Psie Pole stanowi bowiem twór odrębny, niby zrośnięty z miastem, ale jakby oddzielny. Jest połączone z metropolią tylko jedną dużą ulicą i również dlatego stanowi byt samodzielny. Ta kraina ponurych poniemieckich kamienic i ukrytych w zieleni cmentarzy jest wrocławskim zagłębiem opojów. Jej rogatek strzegą całodobowe sklepy monopolowe, w których znikają pijaczkowie różnego autoramentu wraz z pieniędzmi. Oni czasem wracają, one — nigdy.

— Południowy — powtórzył machinalnie Sadowski. — Chyba jeden z najładniejszych i najspokojniejszych wrocławskich parków.

— Do dzisiaj. — Madrygałkiewiczowi zbrodnia najwyraźniej zburzyła wewnętrzną harmonię i zniekształciła odbiór rzeczywistości.

— Nie, nadal jest spokojnym miejscem — mruknął Sadowski, nie patrząc na kolegę, który bez słowa oddalił się w stronę zaparkowanego przy ulicy Powstańców Śląskich samochodu.

Spojrzał na ekran telefonu komórkowego — brakowało czterech minut do ósmej. Jakąś godzinę temu zwłoki odkrył pracownik firmy oczyszczającej. Cherlawego staruszka trudno było o cokolwiek podejrzewać. Z rozmazanymi na policzkach łzami opowiadał o znalezisku, które zniszczyło jego niedawno odrodzoną pomyślność. W koszmarny sposób radość w jego życiu splotła się ze smutkiem. Był niezwykle szczęśliwy, że po latach bezrobocia znalazł pracę w Zieleni Miejskiej, i bardzo nieszczęśliwy, że znalazł trupa.

„Dlaczego w parku i na wyspie?" — myślał Sadowski. „Mógł wywieźć zwłoki za Wrocław, spalić lub rozpuścić w kwasie, ale tego nie zrobił. Aby było jeszcze ciekawiej, przeszedł przez wodę. Staw w parku Południowym to nie Rów Mariański, ale nawet taką płyciznę trzeba jakoś sforsować. Na czym mu zależało? Na popularności? Krwawy megaloman? Na szczęście prasa jeszcze o niczym nie wie. Chociaż kto ją tam wie? Ale lepiej, żeby nie".

Mgła rzedła, a w tafli brudnego jeziorka przejrzało się słońce. Przez następną godzinę policjant przeszukiwał park w poszukiwaniu śladów, które mógł pozostawić przestępca, nie znalazł jednak ani odcisków stóp, ani plam krwi, ani porzuconej broni. Dwie kolejne godziny obchodził okoliczne domostwa. Przeciął ulicę, błąkał się od willi

do willi jak zagubiony turysta. Nikt niczego nie widział. Wszyscy spali, bo ludzie zawsze śpią albo odwracają głowy, kiedy dzieje się coś ważnego.

2

Bryła budynku komendy policji na Podwalu przywodzi na myśl krzyżackie zamczyska albo forty w Sudetach. Grube, ceglane mury i ich ostre narożniki sprawiają, że budowla przypomina warownię, a fosa po drugiej stronie ulicy jeszcze bardziej to wrażenie potęguje. Dostojeństwo gmachu budzi w niektórych mieszkańcach miasta nieokreślony respekt. To niełatwe do zdefiniowania uczucie zrodziło się z pewnością w zeszłej, dość mrocznej epoce, w której arogancję władzy umacniała niezaprzeczalna obywatelskość milicji. Sadowski skonstatował kiedyś, że już sam wygląd budynku zniechęca do popełnienia przestępstwa. Nie bez przyczyny nazywał to miejsce Fortecą. Zresztą cały kwartał wybudowano w podobnym stylu: budynek ABW, sądy i gmach prokuratury, którego murowane wieże dość posępnie spoglądają na okolicę.

Zerkając z ukosa na rzeźby sześciu strażników w milczeniu pilnujących wejścia, wszedł w labirynt korytarzy prowadzących do sekcji walki z terrorem kryminalnym. W pokoju czekał już na niego Madrygałkiewicz z teczką pełną dokumentów i zdjęć.

— Facet z parku to Andrzej Tyber. — Z tryumfującą miną położył papierzyska na biurku Sadowskiego.

— Znamy go? — Sadowski się zdziwił, że tak szybko udało się ustalić tożsamość ofiary.

— Owszem, kiedyś zatrzymano go w sprawie morderstwa motorniczego na Kozanowie, ale szybko wypuszczono. Ostatecznie zeznawał na procesie jako świadek. Tyle dobrego, że mieli jego paluchy. Daktyloskopia działa niezawodnie i szybko. — Madrygał wachlował się kartką. — Aha, miał rodzinę we Wrocławiu w osobie żony.

— No, to masz już zadanie na resztę dnia. — Sadowski zdjął marynarkę i rzucił okrycie dość niedbale na wieszak, a następnie zaczął szukać wzrokiem szklanki. — Dobrze by było, gdybyś przypomniał nam, czy złapali mordercę motorniczego.

— Nie. To znaczy uniewinnili podejrzanego. — Mówiąc to, starszy sierżant wysypał fotografie na stół.

Na pierwszej widniały nagie zwłoki ukrzyżowanego mężczyzny, na kolejnych piszczele i ramiona przywiązane powrozem do drewnianych desek. Podkomisarz zauważył ranę kłutą po lewej stronie ciała, kilkanaście centymetrów nad pępkiem. Na innej ciemny krzyż odcinał się od szarości otoczenia.

— Skoro oddycha świeżym powietrzem, to też trzeba mu złożyć wizytę — odparł, wpatrując się w wielki płaski iks stanowiący integralną część sękatej zagadki.

„To przecież krzyż Świętego Andrzeja" — pomyślał. „I ten człowiek też miał na imię Andrzej. Ciekawe, czy to przypadek. Nie. Wykluczone. Przypadki wpadają na siebie jak ludzie w wąskim przejściu, zdarzają się tylko wtedy, kiedy w katastrofach samolotowych giną prezydenci. Poza tym nie ma przypadków".

Dłonie ze zdjęć należały do przedstawiciela tak zwanej klasy robotniczej — nie były gładkie ani delikatne. Dotykał ich przecież tam na wyspie; pamiętał dobrze ich

szorstką skórę. No i ta dziwnie spokojna twarz, jakby jej właściciel nie doświadczył bólu. Według patologa Tyber zmarł około drugiej w nocy na skutek przebicia mięśnia sercowego ostro zakończonym szpikulcem o średnicy około dwóch milimetrów. W jego żołądku znaleziono resztki późnego obiadu — kawałki gotowanego kurczaka, dyni, cebuli i czosnku.

„Dziwny jadłospis. Kto dziś jada dynię z czosnkiem? Żeby chociaż marynowaną. Zupa dyniowa wraca ostatnio do łask, ale między nią a dynią jest taka różnica jak między ropą a benzyną. Czy zjadł z zabójcą? A może ktoś zmusił go do jedzenia? Tylko po co? Ostatni posiłek skazańca? Z dyni i czosnku?".

Siedząc za biurkiem, omiatał wzrokiem porozrzucane policyjne dokumenty. Raport toksykologiczny nie wniósł nic ważnego — z fotografii wynikało nieco więcej. Wziął w wilgotne palce zdjęcie rany na piersiach. Widział ją z bliska w parku, teraz jednak chciał sobie ten widok przypomnieć, pobudzić mózg do działania. Taki mały otworek, plamka niemalże, a tyle mówił zarówno o zbrodniarzu, jak i jego narzędziu. Przekłuta komora serca to jedyne obrażenie wewnętrzne. Śmiertelne żłobienie wykonała ręka znawcy, żeby nie powiedzieć: wirtuoza. Starał sobie wyobrazić kogoś takiego; miał już do czynienia z kilkoma asami, ale nigdy z kimś takim. Igła wydrążyła tunel, który biegnąc do góry pod niewielkim kątem, znalazł zakończenie w komorze mięśnia. Jedno mocne pchnięcie wystarczyło. Sadowski umiał docenić rękę fachowca.

„Siłacz, który zna się na anatomii. Potężne barki, mocne dłonie i… co jeszcze? Zdegenerowany mózg, który kazał mu ukrzyżować człowieka. Wykolejony oprawca? A może

zimny cynik o intelekcie Metternicha. Co za okropne stopniowanie: źle, gorzej, sadystyczny socjopata".

Gnające myśli potęgowały umysłowy chaos, choć i bez tego czuł się fatalnie. Był wypalony, dogorywał psychicznie, a może i fizycznie, co manifestowało się przewlekłym zmęczeniem. Musiał się z nim zaprzyjaźnić, bo nie skutkowały na niego kilkudniowe urlopy. Poranny zastrzyk adrenaliny i kofeiny pozwalał jakoś dotrwać do dwunastej, ale potem było już tylko gorzej. Marazm dopadał go zazwyczaj właśnie wtedy. Teraz mała wskazówka na tarczy zegara pomału doganiała jedynkę przy nieco pękatej dwójce. Falująca rzeczywistość rozmazywała się, wszystko wokół zlewało w pierzaste plamy; policjant żeglował w jakimś dziwacznym półśnie.

Podświadomie wyczuwał, że jeśli nie zdarzy się coś nadzwyczajnego — jakieś cudowne zrządzenie losu — to sprawa ugrzęźnie na mieliźnie i że o złotej regule czterdziestu ośmiu godzin będzie można chyba zapomnieć. Na biurku telefon hałaśliwie przypominał o swoim istnieniu, ale pogrążony w odrętwieniu Sadowski w ogóle tego nie słyszał. Plastyczna wyobraźnia podsuwała mu różne wizje mniej lub bardziej prawdopodobnych wariantów przebiegu zbrodni i podsuwałaby je dalej, gdyby nie zobaczył przed sobą Szpachelczuka ze słuchawką w wyciągniętej ręce.

— Do ciebie. — Usłyszał.

Spojrzał na kolegę wzrokiem niedźwiedzia wybudzonego z drzemki w środku zimy. Nawet się nie zdenerwował, że tamten podniósł słuchawkę na nie swoim biurku.

— Romek, możesz się do mnie pofatygować? — rozległ się w telefonie niedający się pomylić z żadnym innym

głos inspektora Lutomira Półchłopka, szefa sekcji terroru kryminalnego.

Sadowski ocknął się nagle. Będzie musiał od nowa zanurzać się w śledztwie, nasiąkać nim.

— Miałem bardzo nieprzyjemny poranek nad wodą — odparł szorstko.

— Dlatego dzwonię.

— Zaraz będę.

Szef rzadko naprzykrzał mu się bez istotnej przyczyny, choć w mniemaniu Półchłopka w policji nie było spraw nieważnych. Sadowski wygramolił się więc zza biurka i trochę niezadowolony poszedł na spotkanie chromej codzienności. Na korytarzu mijał osoby znane i nieznane, twarze nijakie, blade i prostackie. „Typowe policyjne facjaty ludzi podobnych do struganego tępym heblem kloca drewna. A jednak skrywające nieprzeciętną inteligencję. Gdyby nie zaangażowanie tych z pozoru zwyczajnych ludzi, Wrocław szybko przeniósłby się w rzeczywistość rodem z *Łowcy androidów*. Stolica Dolnego Śląska tylko z pozoru jest spokojnym miejscem. Tak naprawdę jest ciągle nawiedzana przez demony. Właśnie jeden z nich wyszedł z czeluści. I na nieszczęście skrzyżowały się nasze drogi".

Do pokoju szefa wszedł bez pukania i bez szacunku, jak do publicznego szaletu.

— Wiesz, jaka jest sprawa? — rozpoczął Półchłopek.

Niestety, podkomisarz nie wiedział i dlatego bezradnie rozłożył ramiona. Zrobił przy tym tak zdziwioną minę, jakby zobaczył karibu przebrane za bułkę maślaną.

— Za dwa lata będziemy tu mieli mistrzostwa, a za rok wybory parlamentarne. Chciałbym, aby do tego czasu to miasto było, no wiesz… oazą spokoju — wyjaśnił szef.

Podkomisarz Sadowski podrapał się po głowie, po czym skrzyżował ramiona na piersiach.

— Ja też. — Mimo że uderzony banałem starał się zachować spokój. — Dlatego możesz na mnie liczyć. Naprawdę. Zaraz zadzwonię do mordercy i powiem mu: „Czcigodny zabójco, proszę uprzejmie o zaprzestanie mordowania na czas jakiś. Powiedzmy do meczu ćwierćfinałowego. Albo nie, do przyszłych wyborów parlamentarnych. Do miasta zjadą się bowiem zacni i mądrzy ludzie ubiegający się o senatorskie stolce. Bądź pan łaskaw odpuścić sobie na parę lat. W zamian oferuję wygodną celę z zimnymi przekąskami i telewizją HD, a i od czasu do czasu jakąś miłą panią przyprowadzę".

— Nie wydurniaj się — przerwał ostro te wywody przełożony. — Chodzi mi o tych wszystkich pismaków, którzy prowadzą różne, pożal się Boże, kroniki kryminalne…

— Unikam państwa dziennikarstwa. — Sadowski nie dał szefowi skończyć. — Nasz rzecznik chyba bierze za coś pieniądze?

— Rzecznik rzecznikiem, a ja swoje wiem. Czasem puszczasz coś bokiem temu skrybie z gazety wiadomej.

— Te najważniejsze informacje zachowuję dla siebie — odparł zgodnie z prawdą Sadowski. — Zresztą dawno go już nie widziałem. Chyba przebranżowił się i pisze o komputerach. To bardziej dochodowe.

— Chodzi o to, abyś nie wpuszczał do prasy żadnych informacji na temat ostatniego zdarzenia. Żadnych, nawet fałszywych. — Półchłopek zaakcentował to słowo, uderzając czubkiem długopisu w blat.

Wrzucanie fałszywek do obiegu było standardową procedurą każdej policji, nie tylko dolnośląskiej, i miało na

celu zdezinformowanie przestępców oraz poszukiwaczy sensacji. Tym razem jednak ta stara technika była bezużyteczna, bo to milczenie jest złotem.

— Po prostu daj sobie siana. Wrocław ma przynajmniej w teorii pozostać spokojnym miastem. — Mówiąc to, potrząsał wskazującym palcem prawej dłoni, czego Sadowski nie cierpiał. — Dbajmy choć o pozory. Pozory kreują rzeczywistość.

— Mógłbyś dla mniej inteligentnych?

— Dementujemy wszystko. Niczego nie znaleźliśmy, nic nam o tym nie wiadomo. Wiadomo.

Obaj zaczynali w wydziale zabójstw i — choć ulepieni z zupełnie różnej gliny — szybko zostali kolegami, a może nawet czymś więcej. Jednak przez lata ich przyjaźń zdążyła już mocno skruszeć. Sadowski miał talent do policyjnej roboty, a Półchłopek — do nawiązywania i utrzymywania znajomości z brzuchatymi ważniakami z Warszawy. Co bardziej złośliwi znawcy tematu szli o zakład, że zapuścił wielki kałdun po to, aby się do nich upodobnić. Trudno powiedzieć, czy była to tylko uszczypliwość, w każdym razie szybko awansował na szefa sekcji, choć to Sadowski miał lepsze wyniki. Z roku na rok mężczyźni coraz bardziej oddalali się od siebie. Półchłopek był jednak uzależniony od Sadowskiego jak od kokainy. W pewnym stopniu dzięki Romanowi i jego ciężko pracującym kolegom Wrocław miał taki status, jaki miał. Przynajmniej na pierwszy rzut oka, i to bez względu na to, jaką definicję spokoju przyjąć za punkt odniesienia.

— To nie przekracza mojego progu bólu — odparł po chwili milczenia podkomisarz.

— To dla naszego wspólnego dobra — westchnął Półchłopek.

Kolejny banał wcale nie poprawił Sadowskiemu humoru. Wsadził ręce do kieszeni i świdrował przełożonego drapieżnym spojrzeniem. Trudno zaakceptować inercję szefa, który gdzieś tam w zamierzchłej przeszłości utracił to, co dla policjanta najważniejsze — przesadną podejrzliwość i zmysł kombinacyjny.

— Nie pytasz, co już ustaliliśmy? — Sadowski postanowił przejąć inicjatywę, unikając kolejnego sloganu z ust szefa.

— Pytam — odpowiedział szybko, choć widać było, że jego głowę zaprzątały inne myśli.

— Tyber mieszkał we Wrocławiu z żoną. Wysłałem do niej Madrygała, bo zdaje się, że on potrafi rozmawiać z ludźmi. W każdym razie zaczyna się sprawdzać. Ostatnie dni dają podstawę do stwierdzenia, że możemy mieć z niego sporo pożytku. Śmiało formułuje ciekawe hipotezy i niewątpliwie samodzielnie myśli w pracy. Ale do rzeczy. Nie wiem, czy żona zdoła coś z siebie wydusić. Co do miejsca zbrodni to nie natrafiliśmy na żadne ślady, a tubylcy… jak zwykle, choć trudno mieć do nich pretensje. Zwłoki znaleziono w parku, i to na wyspie. To ich jakoś tłumaczy.

— Co mówi twoja niezawodna intuicja? — Półchłopek pochlebstwem starał się utrzymać przyjaciela w ryzach.

— Na razie sprawa jest niemal niemożliwa do rozwiązania, morderca lub mordercy nie zostawili ani odcisków palców, ani materiału genetycznego. Brak też wyraźnego motywu.

— Sam mówisz, że motyw jest zawsze, nawet wtedy, kiedy go nie ma.

— Pamiętam własne słowa — odparł bez namysłu. — Powiedziałem, że motyw jest zawsze, zwłaszcza wtedy, kiedy go nie ma. Oczywiście, zrozumienie wszystkich przyczyn tej zbrodni nie zakończy sprawy.

— Powiedziałeś morderca lub mordercy. Na co stawiasz?

— Trudno powiedzieć. — Sadowski miał trochę zafrasowaną minę. — Gdyby miałoby ich być więcej, to stawiałbym na jakąś nową sektę. Takie pseudoreligijne bandy bywają groźne. James Jones, Koresh, paru innych przyjemniaków.

— To przykłady zza oceanu, w Polsce sekty nie działają tak spektakularnie.

— Słuszna uwaga. — Sadowski ucieszył się z tej odpowiedzi. — Dlatego nie sądzę, abyśmy mieli do czynienia z robotą ani wspólnoty wyznaniowej, ani gangu. Bez względu na to, jak określimy pojęcie gangsteryzmu. Gangi i mafie to przedsięwzięcia w gruncie rzeczy komercyjne, więc działają bardziej racjonalnie i mniej widowiskowo.

— A jeśli nie sekta i nie gang?

— To wtedy skłaniałbym się ku temu, że to samotny myśliwy. Ale raczej ze sztucerem niż śrutówką.

— A prościej?

— Nie zadowalają go ani przypadkowe, ani niewielkie zdobycze. Prawdopodobnie wybiera ofiary.

— Seryjny? Dobrze wyczuwam intencję?

— Dobrze. — Romkowi trochę ulżyło, że Półchłopek nie wpadł całkowicie w trzęsawisko truizmu. — To oczywiście utrudnia sprawę. Wszelkie zbiorowości o charakterze

patologicznym są podatne na kontrolę i inwigilacje. Indywidualni są gorsi od bólu zęba i rozwolnienia razem wziętych. Znasz mnie, zawsze zakładam, że wydarzy się najgorsze, a potem cieszę się, jeśli do tego nie dojdzie. Ale raczej rzadko się uśmiecham.

— Ale dlaczego seryjny? — dociekał przełożony. Na tym etapie śledztwa rzeczywiście była to dość śmiała teza, choć jej radykalizm brzmiał dla szefa sekcji intrygująco. — Kusi mnie, aby się z tobą nie zgodzić. Mamy przecież tylko jedno ciało.

— Pewne przesłanki skłaniają do stwierdzenia, że na tym się nie skończy. Mógłbym ci długo prawić mądrości, ale ograniczę się do najważniejszego: niepokoi mnie swoisty rozmach tej zbrodni. Mógł zrobić, co tylko chciał, a zdecydował się wyklepać krzyż z desek i wkopać go na wyspie w parku, który znajduje się dość blisko centrum miasta.

— Ma fantazję, ale nie działa pod wpływem impulsu — zauważył słusznie szef. — Faktycznie, nie jest to zachowanie przeciętnego zabójcy.

— Powiem więcej. To robal, który uwielbia zgniliznę. Zaryzykuję stwierdzenie, że żywi się padliną. Im bardziej zepsutą, tym smaczniejszą. On po prostu lubi zabijanie.

— To tylko twoje domniemanie, a nie dowód, że będzie ciąg dalszy.

— To prawda. Tylko że mordercy zazwyczaj nie silą się na oryginalność. Ich świat jest zawężony do trzech „m": micha, mamona i miejsce do *tajnos agentos bzykantos*. Do rozwiązywania problemów używają młotków, noży, brzytew i kastetów. Zostawiają ślady i zazwyczaj dają się porwać emocjom. Tego wszystkiego nie znalazłem na

wyspie. Nie znalazłem, bo mamy do czynienia z innym, rzadszym przypadkiem przestępcy zorganizowanego, inteligentnego i przebiegłego. To robota mówcy, który coś obwieszcza. Najbardziej denerwuje mnie to, że nie wiem co. Nie wiem, bo stosuje jakiś kod, rodzaj szyfru, który trzeba złamać.

— Jak go rozszyfrować?

— Znajdując kolejne zwłoki oczywiście.

— Czyli jednak przygrywka — zmartwił się szef. — Lepiej, żebyś nie miał racji.

— Powiedzmy, że uwertura, a dalsza część będzie jeszcze bardziej interesująca. Jego okrucieństwo idzie w parze z pomysłowością i naturalnie z zuchwałością. To wskazywałoby na kogoś inteligentnego, o dużej wiedzy. Być może na służby specjalne, choć co do tego nie mam pewności.

— Zalatuje to służbami? — Półchłopek trochę się zdziwił.

— Czymś w istocie capi. Pamiętasz przypadek Władysława Mazurkiewicza z Krakowa?

— I to bardzo dobrze. Znałem milicjanta, który robił przy tej sprawie.

— Tam też było bardzo nietuzinkowo i też zza pleców wyglądała ubecja. Zresztą to nie jedyna sprawa kryminalna, w której maczały palce tajne jednostki. Za każdym razem było ciekawie i za każdym razem sprawca był trudny do wykrycia.

— Nie demonizuj ich.

— Nie demonizuję. Po prostu nie lubię.

— Wiem, wiem, to jedna i ta sama sitwa. Już to mówiłeś wiele razy. Nawet się dziwię, że przez tyle lat nie zmieniłeś zdania.